

Portret

26

on-line



Stany Zjednoczone Pamięci Zsuzsy Bank

Anna Rau

Snując wspomnienia – im dalsze, im przyjemniejsze, tym bardziej mgliste i niepewne – często niemal widzimy je jako (nie wiadomo przez kogo, nie wiadomo według jakich zasad) ucięte urywki obrazów. Takie szkice wizualne, filmy krótkometrażowe, z symbolicznie dobranym zestawem kolorów, często nawet czarno-białe. Z dźwiękiem w zastaw za którąś z barw, ze smakiem – jednym, dominującym – zamiast odczuć, z dojmującą pamięcią woni – dlaczego?! Niby nie można wejść w cudze wspomnienia, dotknąć okiem zapisu nie-naszej pamięci, a jednak... Zsuzsa Bank, dzięki swojemu zbiorowi opowiadań, pt. „Najdłuższe lato”, jakby na to zezwala. Inaczej mówiąc, daje czytelnikowi takie poczucie władzy nad sobą, iż niemal wzbudza pewność, że ta lektura to drzwi do przysłonionej woalem niedomówienia pamięci autorki. Forma opowiadań Bank podsuwa wizję, iż oto rozplątujemy zwoje jej pamięci – oczywiście w szeroko rozumianym cudzysłowie fikcji literackiej. W rzeczywistości nic nie upoważnia do pewności, że istotnie mamy do czynienia z jakimkolwiek odniesieniem do przeszłości pisarki, tylko ta forma... – statyczne obrazy wyszarpane z



jakiegoś tajemniczego kontekstu, bez dialogów, bez głębszej analizy, bez ciągu przyczynowo-skutkowego. Dwanaście opowiadań, dwanaście wspomnień, dwanaście jednokolorowych zdjęć z dwunastu miesięcy... I ta niejednokrotnie wzbierająca refleksja, iż oto został odśłonięty jakiś fragment ciągu myślowego zupełnie obcej nam osoby. I przyływ uczucia lekkiego zawstydzenia, jakbyśmy podejrzeli kawałek czyjejś tajemnicy, zajrzeli do dziennika, przeszli lornetką zasuniętą na wieczór zasłone sypialni. Ale tak miało być – konwencja przyjęta przez Zsuse Bank w „Najgorętszym lecie” tak właśnie miała podziałać, wywołując uczucie dzielenia się.

Opowiadania-urywki, po raz kolejny – wspomnienia, które nagle nadchodzą, nigdy nie zapowiedziane, i same się kończą. Wchodząc w toczący się poza naszą percepcją wewnętrzny świat tekstu, nie znamy też przeszłości żadnego z bohaterów opowiadań (chyba że któryś z nich sam jakiś jej fragment przywołuje), podczas lektury jednak możemy to „uzupełnić” poprzez zabieg quasi nawiązania do byłego-wyobrażonego. Tym samym podejmiemy więc rolę Demiurga świata przedstawionego, jako że w tym momencie autorka niejako sama usuwa się na dalszy plan i zezwala czytelnikowi przejąć swoje kompetencje: stworzyć w wyobraźni własny kontekst literacki całokształtu opowiadania. Często owego kontekstu nie sposób odtworzyć – i wątki



literackiego mikroświata zaczynają istnieć w sposób najdoskonalszy: same dla siebie, na granicy bytów – pomiędzy potrzebnym a bezinteresownym. Nigdy nie poznamy „dalszego ciągu”. Nie zdążymy nawet spróbować zaprzyjaźnić się z bohaterami opowiadań (jak to często ma miejsce i czego częstokroć oczekujemy). Postacie Bank pojawiają się znikąd i wracają w nicość. Bezosobowe i malarskie, momentami piękne, senne, oniryczne. Jak bardzo potęguje to brak dialogów, brak akcji, brak emocji, a niemal wyłącznie opisy wewnętrznych monologów i płynące z tego uczucia! Proza delikatna, smakowita i bardzo osobista, elegancka w formie, „opisowa” w treści. Szkice piórkami pamięci, obrazy pełne kolorów, doznań i myśli, wyciągnięte z głów bohaterów. Jeśli ktoś nie czuje tego typu pisarstwa, smak po niej nie zostanie na długo, jest zbyt delikatny.

Dwa najczęściej podejmowane przez pisarkę motywy to rozstanie i powrót. Motto-sugestia, iż nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody, nie spotyka dwa razy tej samej osoby. Przecież dzięki maksymalnej ilości mikrobodźców zmieniamy się w sposób niezauważalnie nieprzewidywalny (często niemożliwy do zaakceptowania dla tych, co pamiętali „poprzednią wersję”) – tak więc już nigdy „nie będziemy tacy jak dawniej”. Oto dlaczego powroty i spotkania po latach tak często budzą zażenowanie, ból i niesmak. Powoływanie się na przeszłość rodzi



pustkę. Aby to podkreślić, Zsuzsa Bank trawestuje powszechnie funkcjonującą symbolikę zjawisk, nadając ponadkulturowo zakodowanym obrazom nowe, swoiste i adekwatne do własnego, pierwotnego modelu opowiadań, znaczenie. Tak więc, na przykład, delfiny, które w powszechnym słowniku kodów kulturowych są symbolem radości, szczęścia i wszelkich pozytywnych konotacji, bohaterce jednego z opowiadań przynoszą w podarunku wiedzę o niespełnieniu, dla drugiej z kobiet – (powszechnie akceptowane) psy są koszmarnym przywołaniem niemiłych przygód z podwórkowego dzieciństwa. A jednak, jakby ponad tym, wręcz dzięki takim elementom, czas Świata Najdłuższego Lata biegnie powoli i sennie. W opowiadaniach jest bardzo dużo jedzenia, z imbryków wypływa mnóstwo strumyczków herbaty, mnożą się filiżanki z kawą, mijamy coraz więcej odbijających nas szyb okiennych, nasiąkamy kolorami, zapachami i dźwiękami. Wyrywają się wspomnienia z całokształtu życia śledzonych przez nas postaci literackich. Ostatecznie zaczepiamy uwagę o tylko jeden wątek ze swoją (najczęściej) dwójką bohaterów, jakbyśmy turlali osobliwą szklaną kulę, dookoła której nie ma nic. Ulice miast są puste – choć zaludnione – pokoje milczące – choć wypełnione znajomymi przedmiotami, gesty nic nie znaczące – choć niby znajome. Zbiór opowiadań Bank epatuje słownictwem o konotacji epitafic-



znej: ukazują ostatnią niedzielę, którąś wyjątkową sobotę, najgorętsze (w domyśle ze wszystkich) lato, podkreślając przemijanie, wyjątkowość, niepowtarzalność doznań. Stąd też tak bardzo ważne są – jak bliskie, pieszczone w pamięci bibeloty-drobi-azgi życia codziennego – ulotne elementy świata przedstawionego: cierpkość herbaty, nieskończone krople deszczu, klaustrofobiczne w swej ilości płatki śniegu, opozycja dzwonów i ciszy, plątanina zwierząt – psów, kotów, kogutów, delfinów. Kolory koją, budzą nostalgię, niepokoją ciągle i jedynie wzmagającym się uczuciem niespełnienia: te białe i żółte kwiaty, przechodząca w brąz czerwień jesieni, kremowa biel – przechowywany w pamięci budzik wspomnienia o wygasłej przyjaźni... Wszystko to takie, gdyż bohaterkami opowiadań Bank są kobiety: Anna i Marti plus osiem lat ich osobnego istnienia-czekania na wspólnotę wiadomości o pewnej śmierci, wspólnotę bólu wspomnień. Lydia oraz okrywający ją cień dzieciństwa wraz z wachlarzem swoich atrybutów: skokami na batucie, lunetą, cukrową watą i ostrą jak brzeg noża granicą przejścia w dojrzałość, czyli ukończeniem szesnastego roku życia. Becky, spętana dobrowolnie podjętym modelem życia kurka domowa, i jej przyjaciółka, przerażona stagnacją, symbolicznie potwierdzoną zasypaniem przez śnieżycę domu Becky, Carola. Nieziemsko chuda Alex ze swoim bagażem samobójstw, książek, gni-



azdem z gazet i kotem. Lisa i jej samotna matka. Sylvie w industrialnym wszechświecie lotniska. Wspominająca zmarłego męża w bardzo osobowym lesie Julia oraz Ewa przejęta swoim garażem... Wszystkie je łączy nie tyle wiek biologiczny, co wspólnota odczuć oraz fakt, iż występujący obok nich mężczyźni to chodzące cienie, ważne o tyle, o ile stanowią bodziec poczynań wyżej wymienionych kobiet. To one znacząco milczą, obracają się i odchodzą, zbierają urazy i w końcu padają porażone znudzeniem, zażenowaniem oraz żalem bezlitosnej pamięci.

Kim są wobec nich, przykładowo – taki Christopher, domowy macho swojej bardzo tradycyjnej rodziny, Kaj – łobuz i prowodyr mikrobandy chłopaków z mitycznego podwórka, dawny „były”, przypadkowo spotkany podczas pewnej, całkowicie już nieudanej, soboty oraz (nawet bardzo) charyzmatyczny Larry ze swoim wyczuciem disco, śpiewem podczas golenia i niewiernym kochankiem Timem. To kobiety podtrzymują przyrodzony swojej płci (według arcymądrej kultury chińskiej) stan dojmującej zimy, przenikliwej wilgoci oraz przewlekłego jak choroba i dotkliwego – dlaczego tak się ciągnie, tak boli nieporównaniem do dawnych „dobrych czasów”? – okresu przygotowań do świąt (wszystko jedno których, tu akurat Bożego Narodzenia). Wieczna Era Lodowcowa – wykorzystana zresztą jako tytuł jed-



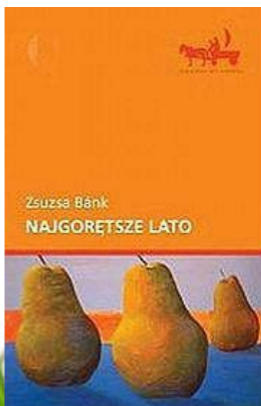
nego z opowiadań. Modlitwy nigdy nie wysłuchane. Zimno... Biało... Ciągłe powracający motyw poruszania się – samochodem, pociągiem, samolotem – oraz podświadome pragnienie zmiany miejsca i ucieczki przed przeszłością. I ostatni mocny akcent: jedynym pozytywnym elementem (wspólnym wszystkim opowieściom) – również bardzo kobiecym – jest wierność dawnym uczuciom: mimo wszystko i ponad wszystko. Stąd szczęście przywołane w jednym z opowiadań, które nie jest realne i wytłumaczalne, lecz oczywiście – jak wewnątrz kobiety – oniryczne, sprowadzone do sekwencji niewytłumaczalnych snów, przerywane odgłosami żab, pobudzającymi falami upału, powracającym zapachem kaktusów, muśnięciami gekonów. Przypomina baśniowo podkolorowany obrazek złożony z elementów „pastwisko-biblioteka-łóżko-pranie”.

Tak trudno zarejestrować moment, w którym następuje przełom, tę magiczną granicę, od której zmiana staje się nieunikniona – i to każda zmiana: w ciele, w rozumieniu zjawiska, w uczuciu do jakiejś osoby, w postrzeganiu i interpretacji. W którym momencie przestajemy być dzieckiem, a zaczynamy być młodym człowiekiem? Co spowodowało, że wkroczyliśmy w dojrzałość? Czy zobaczyliśmy o jedną rzecz za dużo, może dotknęliśmy absolutnego dobra/zła? Co zapoczątkowało nieuchronne rozstanie, załamanie dotychczasowej uległości i zgodę na



trwanie, czyli zlawinowało Zmianę Stanu? Ach, te Stany... – Stany Zjednoczone Tęsknoty: Stan Tęsknoty po zmarłym, Stan Tęsknoty po dawnym kochanku, Stan Tęsknoty po przyjaciółce, Stan Tęsknoty do dzieciństwa. Na postawie każdego z opowiadań Z. Bank – jak też kusząc się na ogląd Jednego Wielkiego Kontynentu Zjednoczonych Stanów Tęsknoty – można by stworzyć osobny esej filozoficzny. Można by wiele... - przede wszystkim można usiąść w fotelu w mglisty, trochę ciepły/trochę chłodny, nijaki, „jednokolorowy” dzień, wziąć opowiadania Z. Bank do ręki i czytając rozmyślać, rozmyślając czytać. I właśnie wtedy ta wysmakowana w formie, spokojna, elegancka, „przelewająca się” jak karmel proza uspokoje, wyciszy i wreszcie przysunie tacę z pytaniem: „A pamiętasz swoje Najgorętsze Lato?”...

*Zsuzsa Bank,
Najgorętsze lato,
przeł. Elżbieta Kalinowska,
Wyd. Czarne,
Wołowiec 2006.*



Pechowa trzynastka?

Marta Skłodowska

„Nadzieja to patologia okresu dojrzewania, tak samo jak trądzik i buzujące hormony.” – do takich wniosków dochodzi czternastoletnia Trixie Stone, główna bohaterka „Dziesiątego kręgu”, trzynastej powieści w dorobku laureatki New England Book Award - Jodi Picoult. Dojrzewanie jest czasem trudnym do przejścia dla każdego młodego człowieka, tym bardziej, jeśli otoczony jest nadopiekuńczą troską rodziców, którzy w ten sposób „łatają” swoje błędy, wychowawcze potknięcia i lęki przed nieuchronną przyszłością, której treść bywa zupełnie nieoczekiwana.

Daniel Stone wraz ze swoją żoną Laurą i córką Trixie toczą życie pełne harmonii, spokoju i wzajemnej miłości. Każde z nich zastanawia się nad uczuciami i nastrojem pozostałych członków rodziny. Jak się okazuje, sielanka jest tylko pozorna. Nastolatka ze złamanym sercem na domowej imprezie u przyjaciółki pragnie odzyskać swojego chłopaka Jasona, wzbudzając w nim zazdrość. Sądząc z tego, co pisze Picoult, erotyczne gry, wyuzdanie i alkohol, to najnormalniejsze zabawy dla czternastolatek. Tak się jednak składa, że pomysł Trixie nie przynosi pozyty-



wnych efektów - dziewczyna wraca do domu w szoku, ogłaszając ojcu, pełną dramatyzmu wiadomość, że została zgwałcona.

W tym momencie rozpoczyna się gehenna rodziny Stone'ów: na jaw wychodzi romans Laury z jednym ze swoich studentów, w Danielu budzą się demony przeszłości, Trixie wpada w depresję zdobną w akty autoagresji. Tym bardziej sytuacja pogarsza się, gdy udaje się dowieść, iż kłamała w swoich zeznaniach na policji. Następnie wszystkim (z pozoru) zarówno bohaterom, jak i czytelnikom, „mrozi krew w żyłach” wieść o samobójczej śmierci Jasona.

W efekcie oskarżenia o morderstwo, Trixie ucieka, szukając miejsca, gdzie udałoby jej się skryć przed policją. Opierając się na opowieściach ojca, wybiera Alaskę. Dzięki wyjątkowo niesamowitym zbiegom okoliczności i szczęściu, dziewczyna dostaje się do zespołu wolontariuszy pomagających w organizacji wyścigu psich zaprzęgów K300. W ciemną noc wraz z Wiliem – młodym Eskimosem – wyrusza skuterem śnieżnym do innego miasta, by pomagać przybywającym tam maszerom. Podczas podróży dopada ich zamieć śnieżna i zmuszeni są nocować w ciemnym lesie. Aby się ogrzać, śpią obok siebie nadzwy, pod stertą kurtek i suchej trawy. Tak rozpoczyna się niewinna i czysta miłość dwojga, którzy będą dla siebie nawzajem odkrywać „pierwsze ścieżki prawdziwej miłości”. Czy nakreślony



wątek zostanie dalej podjęty przez autorkę?

Warto wspomnieć, iż Daniel jest rysownikiem komiksów, a treść powieści przeplatana jest właśnie fragmentami jego nowej publikacji. Główny bohater komiksowej opowieści, Duncan to lustrzane odbicie swego twórcy – kochający ojciec i mąż, który w sytuacji, gdy jego córka Tracy zostaje porwana przez potwora, zdolny jest zamieniać się w Szpona – pół-człowieka, pół-ptaka, który wyrusza do piekła, by odnaleźć swoje dziecko. Jednak każda przemiana powoduje, iż traci on część swojego człowieczeństwa. Czy zatem Tracy pozna ojca, gdy ten już ją odnajdzie i uwolni?

Pierwszą sprawą, jaka mnie zastanowiła, gdy rozpoczęłam lekturę powieści, była silna „harlequinowska” maniera, przywodząca na myśl właśnie tanie romansidła. Długie opisy duchowych rozterek bohaterów, oczy, z których można wyczytać niemal to, czy partner ma zgagę czy niestrawność, emocje jaskrawe do bólu i bohaterowie zupełnie nie potrafiący zapanować nad nimi. Mnie osobiście taki sposób pisania po pierwsze odstrasza, po drugie męczy. Skraca on samą fabułę i powoduje, że na ponad 360 stronach mieści się stosunkowo niewiele akcji.

Niemal nic w „Dziesiątym kręgu” nie zaskakuje. Ofiar, sprawców, zakończenia i pointy można się domyślić już na początku, jeśli tylko czytelnik jest



choć odrobinę inteligentny. Rozciągnięte do granic możliwości opisy przeżyć wewnętrznych sprawiają, że historia staje się nieco nudną refleksją nad rodzicielstwem, dojrzewaniem, małżeństwem i, jak się okazuje, pustą, bezsensowną i brutalną rzeczywistością. Wszystko to ubarwione jest nutką magii, którą autorka uzyskała poprzez opowieści o Yupikach, ludzie Eskimosów, wśród których wychował się Daniel. Opowieści o duchach, naturze, przesadach, przeczuciach i nadprzyrodzonych zjawiskach codzienności życia na Alasce, dodają odrobinę uroku tej książce, jednak po pewnym czasie zdają się już nieco trącić tandetą i kiczem.

Interesującym zabiegiem jest umieszczenie pośród kadrów komiksu liter, które czujne oko czytelnika będzie potrafiło odnaleźć. Należy je ułożyć w zdanie oddające główny zamysł powieści. Tych, którzy je odkryją autorka zaprasza na swą stronę internetową (ciekawy chwyt marketingowy), by sprawdzili poprawność zapisanego zdania. To jednak jedyny interesujący i oryginalny, jak mi się wydaje, pomysł Jodi Picoult, jaki został nam zaserwowany w „Dziesiątym kręgu”.

Słowa na okładce książki mówią o „mistrzostwie fabularnym”, jakie osiągnęła Picoult w swojej trzynastej powieści. Próbuje się więc go doszukać pomiędzy przewidywalnymi „zwrotami akcji”, wykorzystaną tysiące razy stylistyką, tematyką



podjętą już nieraz w innych publikacjach. W istocie mam z tym problem. Czy wobec tego nie odkrywam prawdziwej głębi tej książki, czy też tu jej po prostu nie ma? Zastanawia mnie jedno, czy przy trzynastej z kolei powieści, mając na względzie, iż autorka wydaje nawet dwie rocznie, można się jeszcze zdobyć na nowatorstwo i odkrywczność? A może to tylko trzynastka jest pechowa?

*Jodi Picoult,
Dziesiąty krąg,
tłum. Michał Juskiewicz,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2007.*



Feminizm jest „blee”?

Anna Dobięgała

„Głośniej! Rozmowy z pisarkami” to zbiór wywiadów, jakie pisarka Agnieszka Drotkiewicz oraz dziennikarka Anna Dziewit przeprowadziły z pisarkami, głównie z Europy Wschodniej, od maja 2005 roku do czerwca 2006 roku w różnych zakątkach Starego Kontynentu, m.in. na wyspie Yxlan należącej do Archipelagu Sztokholmskiego. Niektóre rozmowy były publikowane wcześniej na łamach „Lampy”, „Gazety Wyborczej”, a także „Sukcesu”. Książka ukazała się w ubiegłym roku w wydawnictwie książkowym magazynu „Twój Styl”. Drotkiewicz i Dziewit zaprosiły do rozmowy dziesięć kobiet, artystek ważnych dla rozwoju literatury, kultury, sztuki i obyczajowości krajów, z których pochodzą. W ich gronie znalazły się Kazimiera Szczuka, Dorota Masłowska, Ewa Kuryluk, Grażyna Plebanek oraz Michalina Witkowska (czytelniczki Lubiewa z łatwością odgadną, kto kryje się pod tym nazwiskiem) z Polski, Agneta Pleijel ze Szwecji, Dubravka Ugresic z Chorwacji, Irena Karpa z Ukrainy, Marlene Streeruwitz z Austrii oraz Renata Serelyte z Litwy.

Nie każda z tych kobiet jest tzw. feministką outdoorową, która czynnie walczy o poprawę sytuacji



kobiet. Niektóre wprost mówią, że feminizm nie leży w kręgu ich zainteresowań. „Nie śledzę poczynąń szwedzkich feministek” – otwarcie przyznaje Agenta Pleijel, szwedzka poetka, krytyczka literacka, dziennikarka, dramaturg i powieściopisarka, autorka m.in. „Kto zważa na wiatr”, „Zimy w Sztokholmie” czy „Lorda Nevermore”. Renata Serelyte, litewska pisarka, poetka, wydawca i krytyk literacki, autorka m.in. wydanych w Polsce książek „Gwiazdy epoki lodowcowej” i „Imię w ciemności” nawet z feminizmu żartuje. „Czasem żartuję sobie z feminizmu, zwłaszcza z tego radykalnego. Ja nie fetyszyzuje swojej płci” – mówi pisarka. Ale bez wątpienia każda z tych kobiet jest feministką wewnętrzną, żeby użyć określenia Wojciecha Eichelbergera. Ujawnia się to przede wszystkim w ich pisarstwie, ale również w sposobie życia. Te pisarki walczą z „potworną dyskryminacją”, jak wyraziła się Dubravka Ugresic o zaliczaniu literatury pisanej przez kobiety do pozostającego poza głównym nurtem getta literatury kobiecej, bo przecież „pojęcia kobiecości i ‘niekobiecości’ nie są nam w literaturze i sztuce zbyt pomocne”, jak słusznie zauważa Ewa Kuryluk. Występują przeciwko seriom w spódnicy, z torebką albo szminką. Dekonstruują mity na temat swojej płci i walczą ze stereotypami kobiety.

Feminizm jest wątkiem przewijającym się przez wszystkie wywiady, leitmotivem każdej konwer-



sacji. I pewnie dlatego książkę otwiera rozmowa z Kazimierą Szczuką, najbardziej czynną feministką spośród grona bohaterek „Głośniej!”. Zaproszone przez Drotkiewicz i Dziewit pisarki opowiadają o sytuacji ruchu emancypacyjnego kobiet w ich krajach. O dobrej sytuacji szwedzkich kobiet mówi wspomniana już Agneta Pleijel. Irena Karpa, ukraińska pisarka, autorka m.in. „Freud by płakał”, wydanej w ubiegłym roku przez wydawnictwo Czarne, opowiada o ukraińskich dziewczętach, które „we Lwowie po zamarzniętych i śliskich chodnikach spacerują na niebotycznych obcasach”, a ich największym marzeniem jest wyjść za mąż za, dajmy na to, „bogatego dentystę z Zachodu”. Marlene Streeruwitz, austriacka prozaiczka, dramatopisarka i autorka słuchowisk, podkreśla austriacki kontekst walki kobiet o ich godność, absolutyzm narodu wynikający z monarchistycznego ustroju państwa austro-węgierskiego, które w czasach oświecenia było państwem policyjnym. O prawdziwej twarzy radykalnego feminizmu na Litwie opowiada Renata Serelyte.

„Głośniej!” nie jest zbiorem rozmów feministek z feministkami o feminizmie, ruch emancypacyjny kobiet to nie jest jedyny temat zebranych w książce wywiadów. Zaproszone pisarki mówią przede wszystkim o tym, co jest im najbliższe, czyli o własnym pisarstwie, o mechanizmach, jakie stosują we własnej twórczości, o powodach pisa-



nia, o społecznym oddźwięku ich literatury, który przeważnie jest nikły. Opowiadają o podróżach, o grze na basie, o nacjonalizmie, „Solidarności” i wielu, wielu innych bliskim im sprawach.

Dla autorek książki i wszystkich kobiet z ich pokolenia feminizm jest „powietrzem, którym się oddycha i wodą, którą się pije”, „poziomem zero, stanem wyjściowym”. Do czego więc emancypacja potrzebna jest nowoczesnym dziewczynom, które mogą głosować, chodzić w spodniach czy pracować na własne utrzymanie? Po co w ogóle ten feminizm i o co tyle krzyku? Bo „to, że możemy się uczyć, kończyć studia, to jest jednak ciągle za mało”, twierdzi Kazimiera Szczuka. Różne są odmiany ruchu emancypacyjnego kobiet, różne są też poglądy feministek, ale feminizm w swoim najszerszym znaczeniu jest przede wszystkim walką o wolność i tolerancję, sposobem krytycznego podejścia do świata i rodzajem samodzielnego myślenia, o który tak bardzo upomina się w wywiadzie Irena Karpa: „Trzeba nauczyć się myśleć samodzielnie, na Boga”. Zeby nie być podobnym do innych produktem społeczeństwa masowego z głową jak trocinami wypchaną medialną papką.

W kraju, gdzie władza wsparta jest autorytetem Kościoła, ideały wolności i tolerancji są wciąż pomijane. „Głośniej!” nie jest głosem w dyskusji na temat aborcji czy związków homoseksualnych. Po-



kazuje zmagania kobiet z różnych krajów europejskich, które piszą feministyczne książki i mają odwagę mówić swoim językiem, chcą być wolne i mieć prawo do własnych decyzji. Książka Drotkiewicz i Dziewit nie krzyczy kobietom w twarz „idź, walcz”, ale zachęca do walki, w której stawką nie jest wolność wyboru między włosami pod pachami a oglądaniem „Seksu w wielkim mieście”, ale wolność decydowania o sobie, bo przecież w tej całej emancypacji właśnie „chodzi o to, aby być wolną do robienia tego, co chcesz”. Może więc feminizm nie jest wcale taki „blee” i warto łowić feministyczne wydawnictwa, które z głębi niszowego nurtu wypłynęły na szerokie wody komercyjnego rynku.

*Agnieszka Drotkiewicz,
Anna Dziewit,
Głośniej! Rozmowy z pisarkami,
Wyd. Twój Styl,
Warszawa 2006.*



Być kobietą, być papieżem

Anna Brzezińska, Beata Biwan

Moguncja, dzisiejsze Niemcy, wiek IX. Okres po śmierci Karola Wielkiego, czasy papieża Leona III oraz najazdów Arabów na Europę południową, a Wikingów – na północną. Czas podziału Królestwa Franków i konfliktu między Rzymem i Bizancjum, początek schizmy focjańskiej. Tu przychodzi na świat Joanna, przyszła papieżyca. Niesprzyjający czas dla kobiety przejawiającej jakiegokolwiek ambicje.

Najpierw przeżywa śmierć swojego nauczyciela, Carolusa, później rodzina sprzedaje ją cyrkowcom, którzy z kolei giną na jej oczach podczas ataku Saracenów. Tu trauma się nie kończy; kiedy trafia pod skrzydła księdza pustelnika Teodora, również staje się świadkiem jego śmierci, zyskując jednak cenne pisma, które przechowywał. Od tej pory zabiera je wszędzie ze sobą, studiuje, tłumaczy i interpretuje. Joanna jest niczym zły omen; wszystkie postacie, które napotyka na swojej drodze, giną w tragicznych okolicznościach (zwykle pożerane przez lwy, wilki lub niedźwiedzie).

Chociaż nie jest to w bezpośredni sposób wyrażone przez narratora opowieści, można przypuszczać, że Joanna aspiruje do stanu duchow-



nego lub do bycia mężczyzną, nosi bowiem habit i obcuje z mnichami. Zostanie mężczyzną jest jedyną możliwością dającą jej dostęp do interesujących ją pism. Z drugiej strony, kiedy z ramienia mnicha Sebastiana zostaje wysłana na misję do Aten, poznaje uroczego Saracena, Mustafę, z którym to poddaje się obrzędowi defloracji w polu pszenicy lub innego zboża (być może zresztą na łące). Właściwie Joanna przejawia więcej tego rodzaju nietypowych dla papieża odruchów, słowem pociągają ją mężczyźni, czyli jest w tym sensie pełnowartościową kobietą. A na misję do Aten jedzie, by dowiedzieć się czegoś więcej o „Patrimonium Petri”, spuściźnie Św. Piotra, co zarówno po łacinie, jak i w tłumaczeniu, dla przeciętnego czytelnika brzmi bardzo tajemniczo. W Atenach jako młody rumiany mniszek wzbudza Joanna furorę, zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn, pozostaje jednak wierna Mustafie. Po wielu kolejnych perypetiach Joanna zostaje papieżem.

Po kilkuletnim czasie swojego „papieżycowego” panowania, Joanna oddaje ducha Bogu. Lecz nie odchodzi w chwale. Pozostawia po sobie to, co jest w prostej linii najoczywistszą konsekwencją poddania się urokowi nie tylko przystojnego Araba, ale w ogóle – mężczyzny, a mianowicie małe, różowe dziecko. Oprócz dziecka Joanna osieroca nigdy nieotwartą tajemniczą skrzynię, w której, jak przypuszczała, mieści się całe zło tego świata.



Czytelnik, trzymany przez autora w napięciu od początku akcji powieści, na końcu już wprost nie może się doczekać rozwiązania tajemnicy skrzyni. Autor zatem otwiera mu ją na koniec. Otóż w skrzyni znajduje się... pierwszych kilka zdań czytanej przez nas powieści. I trzeba tu zaznaczyć, że taki pomysł autora nie czyni z „Joanny ...” arcydzieła konstrukcji ramowej.

Można zgadywać, że impulsem do napisania „Joanny...” stała się moda na „dokopywanie” się w historii jakiegoś szokującego faktu i budowanie wokół niego sensacyjnej fabuły tak, jak uczynił to Brown w „Kodzie Leonarda da Vinci”. Arturo Ortega Blake robi dokładnie to samo. Wokół historycznej wzmianki o ciężarnej papieżycy z IX wieku buduje opowieść pełną wątpliwych sensacji i przygód. Kiedy kolejny trup pada zagryziony przez lwa, czytelnik odnosi wrażenie, że autor karmi go jakimś wyjątkowo tanim substytutem fabuły awantur- niczo-przygodowej, która i tak przynależy do tzw. „najniższej półki”.

Blake’a mógłby uratować, typowy dla tego rodzaju powieści, żywiołowy styl gawędziarski, ale i tego tutaj brakuje. Autor buduje zdania godne pięcioletniego berbecia. Hołduje zdaniu pojedynczemu i nie zagłębia się w psychikę postaci. Jego bohaterowie są papierowi, nie mają życia wewnętrznego. Kiedy chcą jeść, to jedzą. Kiedy



chcą się wypróżnić, to się wypróżniają. Nie znaczy to, że ich życie umysłowe stanęło w miejscu, bo jednak autor sugeruje, że coś się tam dzieje. I tak na przykład Joanna studiuje wspomniane już pisma i chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o roli kobiety w świecie chrześcijańskim. W pismach trafia jednak na same szowinizmy, które wówczas były na porządku dziennym, typu:

„Pomiędzy wszystkimi dzikimi bestiami nie ma tak szkodliwej, jak kobieta” (s. 127) lub: „nic tak nie upokarza ducha mężczyzny jak pieszczoty kobiety” (s. 72).

Joanna teoretycznie chce zmienić marny status tak zwanej płci pięknej, chce zwiększyć jej znaczenie. Nie odcina się od swej seksualności, tylko że ta seksualność ogranicza się do samego zaspokojenia popędu. Inicjacja seksualna Joanny jest atawistyczna, nie jest przeżywana świadomie. To tylko potwierdza konsekwencję autora w nienadawaniu postaciom cech wewnętrznych. I trudno powiedzieć, z czego to wynika, bo chyba brak wnętrza nie ma być elementem odwzorującym typ człowieka średniowiecznego. Przecież wieki średnie to epoka duchowości – prawda, że ograniczanej przez wąskie ramy wiary, ale nie cielesności. Średniowiecze gardziło ciałem i jego potrzebami. Skrajnie odmienna postawa Joanny nadaje jej rys kobiety współczesnej. A poprzez jej dążenie do zdobycia typowo męskiego



wówczas zawodu – również kobiety fallicznej.

Można by przypuszczać, że powieść o Joannie miała opiewać początki wyzwania się kobiecości spod jarzma patriarchy, narzuconego średniowiecznej społeczności przez mężczyzn za pomocą chrześcijaństwa. Blake rzeczywiście kilkakrotnie ujmuje religię właśnie jako narzędzie służące mężczyznom do przejścia w społeczeństwie najwyższej pozycji, co oczywiście odkryciem nie jest. Większość kultur pierwotnych, a także w dużej mierze kultury starożytne, zbudowane były w oparciu o matriarchat. Kobietę uznawano bowiem za źródło życia i nosicielkę pierwiastka boskiego, bo była najsilniej związana z naturą. Chrześcijaństwo w sposób sztuczny odwróciło tę hierarchię.

Czy zatem jest „Joanna...” powieścią feminizującą? Wydaje się, że nie, a jeśli nawet autor miał takie założenie, to zabrał się do sprawy raczej nieudolnie. Główna bohaterka nie odcina się od własnej cielesności, ale też przeżywa ją tylko zewnątrz. Ma świadomość zepchnięcia kobiety na drugi plan w „walce płci” i ma do tej sytuacji stosunek krytyczny, ale nie próbuje jej zmienić poprzez eksponowanie i wyzwolenie kobiecości, lecz poprzez zostanie mężczyzną. Kobiecość ukryta pod habitem nie jest kobiecością. Kobieta wyzwolona nie równa się mężczyzna czy też ksiądz. Dodatkowo Joannę dyskwalifikuje brak zarysu jej psychiki. Rzadko



wiemy, co myśli i czuje. Podobnie jest zresztą z innymi postaciami.

Kolejna kwestia to Bóg. Teoretycznie powinniśmy się Go spodziewać w książce mającej oddać ducha *media aetas*, zwłaszcza, gdy jest to książka przedstawiająca życie przyszłej papieżycy. Tymczasem nie ma go tu wcale. Religia chrześcijańska jest obecna przede wszystkim na płaszczyźnie rozważań o roli kobiet i seksu w kościele. Czytelnik poszukujący elementów świata metafizycznego nie zostanie tu zaspokojony. Po prostu ich nie ma. Nawet Joanna prawie się nie modli. Bynajmniej też nie zostaje papieżem z powołania.

Jest to związane z kolejnym problemem, który akcentuje Blake, a mianowicie kwestią dwulicowości kościoła. Przedstawia liczne przykłady zakłamania watykańskich elit. Możemy poznać biskupów, którzy z duchowością mają mało wspólnego, ponieważ całą swą energię spożytkowują na uzyskanie argumentów, które miałyby posłużyć do zniesienia celibatu, żeby ich życie w końcu mogło być prowadzone chociaż w jakimś stopniu w zgodzie z prawami Kościoła.

Książka Blake'a to nużąca podróż poprzez bezbarwnie przedstawiony świat wieków średnich. W dodatku podróż bez końca, bo kończy się tak samo, jak się zaczyna. Pełna erudycyjnych cytatów i egzemplów, nie zawiera żadnej konkretnej pointy. Średniowiecze jawi się stokroć bardziej interesująco



w podręcznikach historii. Tu pozbawione typowej dla siebie duchowości i bajeczności, rysuje się jako ciąg suchych faktów. Nawet fabułożerca by się nie najadł.

*Arturo Ortega Blake,
Joanna. Kobieta, która została papieżem,
tłum. Katarzyna Kula,
Wyd. Philip Wilson,
Warszawa 2006.*



„Noc” na Marginesie

Piotr Szauer

Tematyka rodem z dowcipu o Niemcu, Rusku i Polaku, choć poruszająca także odwieczne zagadki człowieczeństwa. Z jednej strony szybkie samochody, alkohol, dziwki i zabawa, z drugiej zaś wołanie duszy, wspomnienie tragedii wojny i wciąż nieodgadniona tajemnica śmierci. Taki jest dramat Andrzeja Stasiuka. „Noc – słowiańsko-germańska tragifarsa medyczna” to ironiczna opowieść o wzajemnej sympatii i zależnościach między dwiema nacjami, ale także rozprawa o kondycji współczesnego Europejczyka. W ścisku przepełnionej w poniedziałkowy wieczór Sceny Margines kilkudziesięciu sympatyków teatru oraz nietuzinkowego literata ‘bujalo się’ na emocjonalnej huśtawce stereotypowego dramatu.

Stereotyp to narzędzie, którym posłużył się Stasiuk, w celu przedstawienia w sposób ironiczny wszystkich narodowych wypaczeń, które my wytykamy Niemcom, a oni nam – „Jesteśmy braćmi w komplikacji mentalnej, w popierdoleniu, w splocie kompleksów. Słowianie i Germanie, Polacy i Niemcy. To właśnie starałem się opisać, próbowałem tego dotknąć” – opowiada.



To, czym sztuka uderza widza, to swoista karuzela nastrojów i poruszanych tematów, zabawa wrażliwością widza. „Chodziło nam właśnie o to, by śmieszne sceny przeplatać przerażającymi. Takie przeskoki i uderzenia mocnym, drażliwym tematem ożywiają sztukę” – tłumaczył widzom po spektaklu swą koncepcję reżyser Andrzej Bartnikowski. Sprawy poważne traktowane są w sztuce często w sposób błahy, co podkreśla ironiczne spojrzenie autora tekstu na owe różnice w mentalności sąsiadujących nacji. Przytłacza szczególnie scena, w której aktorzy chóru, niczym przekupy na straganie, licytują wartość poszczególnych ludzkich organów, przyrównując je do klasy samochodów. Jednak, jak sam Stasiuk zaznacza, wszystko, co napisał jest prawdziwe. Tym bardziej przytłacza wizja „dziwnego świata” w „Nocy”.

Tragifarsa – bo tak szczegółowo autor charakteryzuje w samym tytule gatunek dzieła – opiera się na biegunowości opisywanych zjawisk. Wschód jest zależny od Zachodu, zaś dusza jest podległa ciału i na odwrót. Wschód potrzebuje zachodnich rzeczy, za co odplaca tym, czego mieszkańcy lepszego świata wyprodukować nie potrafią – a mianowicie ludzkimi organami. Ciało, gdy nie słucha swej duszy błądzi. Lecz dusza, jak kobieta, ulega ciału mężczyzny nawet po śmierci. Bo jak się okazuje dusza nawet najbardziej męskiego faceta nie musi wcale być



męską. To kolejna walka przeciwieństw, którą sztuka ilustruje.

Olsztyńska adaptacja nieco odbiegała od oryginału. Ale takie prawo reżysera. Każdy może inaczej zrozumieć słowa, które przeczytał. W dzisiejszych czasach odczytanie sensu oznacza błąd zrozumienia, gdyż podważa się samo istnienie jakiegokolwiek sensu. Również sensu pisania. Andrzej Bartnikowski dostrzegł w tekście Stasiuka więcej podniosłości aniżeli żartu, więcej tragedii niż farsy, podkreślając to dobitnie umieszczeniem w sztuce novum w postaci średniowiecznych pieśni żałobnych wykonywanych przez aktorów w tle głównych wydarzeń scenicznych. Jak sam reżyser podkreśla, chciał w ten sposób ukazać uniwersalność tekstu. Pozwolił też sobie na element prywaty, gdyż owe pieśni są tym, co go interesuje, a nawet fascynuje, i czego uczy młodych aktorów w olsztyńskim studium.

Sztuka została napisana na zamówienie niemieckiego Dusseldorfer Schauspielhaus i tamże po raz pierwszy wystawiono ją w styczniu 2005 roku. Olsztyńska prezentacja była jednorazowa i należy chyba ubolewać, że nie dane będzie szerszej publiczności 'pohuścić się' znów na stereotypach „Nocy”.



Dramat w działaniu: „Noc” Andrzeja Stasiuka
5.02.2007, godz. 18:00 – Scena Margines

Reżyseria: Andrzej Bartnikowski

Wystąpili: Andrzej Bartnikowski, Aleksandra Andrzejewska, Daniel Chryc, Grzegorz Gromek, Agnieszka Grzybowska, Cezary Ilczyna, Stanisław Krauze, Piotr Lizak, Katarzyna Mazurek, Noemi Rogalewska.

